

Biologia rewolucji

Gustave Thibon

Chciałbym nieco zawęzić temat. Nie chcę mówić o rewolucjach w ogóle. Przez słowo rewolucja rozumiem tu przede wszystkim bunt „mas” przeciwko władzy, a mówiąc ściślej – przewrót społeczny o charakterze demokratycznym, który wynosi lud do władzy (jak np. rewolucja francuska czy rewolucja rosyjska z 1917 r.). W starożytności i na początku czasów nowożytnych konflikty takie w ogóle nie istniały: przewroty rodziły się wówczas z rywalizacji między rządzącymi, dokonywały się w pewnym sensie wewnątrz elity, a lud (nawet uzbrojony) odgrywał w nich tylko czysto instrumentalną rolę. Jeśli zaś pojawiały się prawdziwe zrywy ludowe (powstanie niewolników, żakeria, bunt chłopów niemieckich itd.), były zazwyczaj tłumione w zarodku, gaszone okrutnymi represjami. Tym samym ich analiza jest znacznie mniej pouczająca niż tych bardziej nam współczesnych wstrząsów, które zwyciężywszy, zdołały wydać wszystkie swoje owoce. W istocie żyjemy w „złotym wieku”, w którym ludy doszły do dorosłości (Wiktor Hugo mówił o „narodach dojrzałych”) i same zmieniają swoje przeznaczenia¹.

Trudno lepiej zdefiniować rewolucję, niż porównując ją do choroby zakaźnej. Jacques Bainville napisał gdzieś, że upamiętniając i świętując zdobycie Bastylli, naród francuski przypomina człowieka, który świętowałby rocznicę zapadnięcia na dur brzuszny.

Sulli lub Cezara. Jest jednak pewna różnica: Cezar wydawał rozkazy podległym sobie żołnierzom, aby przeprowadzić swój przewrót, demagog zaś porusza tłumy, aby zbuntowały się i same się zbawiły, ich działanie ma służyć ich własnemu dobru. Sprawca udaje, że jest tylko doradcą i sługą ludu, jego sztuka polega na wywołaniu w ludzie wrażenia, że to on prowadzi rewolucyjną grę, że jest pierwszą przyczyną, chociaż jest tylko posłusznym narzędziem.

¹ Wiemy dobrze, że to rewolucyjne samostanowienie ludów jest tylko złudzeniem i że nawet wtedy, gdy rewolucja wydaje się najmocniej wytryskiwać z ludowej świadomości, człowiek z tłumu pozostaje tylko ślepym narzędziem w rękach agitatorów, podobnie jak rzymski legionista, który walczył o ustanowienie dyktatury

Dur brzuszny sam w sobie jest dla człowieka czymś złym. Ale zdarza się, że „oczyszcza” i odnawia organizm, a także staje się wstępem do niezmaconego i pełniejszego okresu zdrowia. Tak samo jest z rewolucjami: takie wydarzenia można usprawiedliwić, tylko wskazując na zbawienne reakcje, które niekiedy wywołują w organizmie społecznym, który istnieje wcześniej od nich, który ich doświadcza i który wychodzi z nich zwycięsko. Jeśli rewolucje sprawiają jakieś dobro, dobro to zakłada istnienie porządku i tradycji, które są wywracane, i dokonuje się w ramach tego starego porządku, odbudowanego i odmłodzonego zarazem po rewolucyjnej konwulsji, która – ujmowana sama w sobie – pozostaje złem. Znaczy to, że rewolucja przynosi pozytywne owoce tylko wtedy, gdy obumiera, gdy oddaje pole starej równowadze, którą chciała zniszczyć, zupełnie jak gorączka, której oczyszczające efekty dają się odczuć dopiero po ustąpieniu infekcji i powrocie organizmu do normalnego rytmu. Wyrażenie „dobrodziejstwa rewolucji” jednocześnie zakłada śmierć tej rewolucji i przetrwanie (przynajmniej w tych aspektach, które są zgodne z najistotniejszymi wymaganiami ludzkiej natury) tego organizmu społecznego, który rewolucja próbowała zabić.

Swoisty nowożytny mesjanizm – przeciwnie – charakteryzuje się wiarą w pierwszeństwo, samowystarczalność i absolutną dobroć ducha rewolucyjnego. Prawdziwy człowiek lewicy gotów jest szukać podstaw trwałej i konstruktywnej polityki w ideologiach, które ze swej istoty są niszczycielskie i których wpływ musi pozostać ściśle przejściowy, gdyż grożą śmiercią organizmowi społecznemu. Rewolucyjna idolatria polega na pragnieniu uwiecznienia jako zgodnego z najwyższym dobrem człowieka, reżimu wyniszczenia i dezintegracji, stanu kryzysowego, który może być usprawiedliwiony tylko chwilowo, gdy służy szybkiemu powrotowi organizmu społecznego do swojego naturalnego sposobu odżywiania i wewnętrznej wymiany.

Najbardziej rujnujące doświadczenia ludzkości dowodzą, że mity wyznaczające tor rewolucji (walka i zniesienie klas, dyktatura proletariatu itd.) nie mają w sobie żadnej mocy organizacyjnej, żadnej zdolności twórczej. Jeśli te utopie, same w sobie całkowicie niszczycielskie, przynoszą czasem jakieś niezamierzone dobre owoce, to tylko, gdy walczą ze swoimi przeciwieństwami i w tej

walce giną, służąc w ten sposób prawdom, którym przeczą: lepiej rozumianej nierówności między ludźmi, odnowionym rządowi elity itd. Tak oto rewolucja francuska czy rewolucja rosyjska będą mogły zostać nazwane płodnymi dopiero wtedy, gdy wszystkie toksyny wszczepione przez nie w ekonomię społeczną zostaną wyeliminowane, gdy poszerzony i oczyszczony duch „starego porządku” zastąpi wyczerpujące następstwa tych gorączek.

Jak każdy błąd, każda aberracja – jak każde zło w ogóle – ruch rewolucyjny i każdy zwrot w kierunku skrajnej lewicy mogą mieć moc oczyszczającą. Ale nigdy nie będą miały mocy odżywiającej. Prawdziwy rewolucjonista – wierzący, że ideał egalitarny i demagogiczny ma wartość twórczą i zachowawczą, i chcący na tym ideale zbudować stabilny porządek społeczny – przypomina lekarza marzącego o zapewnieniu zdrowia swoim pacjentom przez podawanie im jedynie środków przeczyszczających! Głoszona przez Lenina i pierwszych bolszewików idea „rewolucji permanentnej” jest doskonale zgodna z tym nonsensem: będąc kwintesencją iluzji rewolucyjno-demokratycznej, wiedzie do sprzecznego w sobie dążenia do ustanowienia porządku, który byłby scaleniem i rozkwitem nieporządku, a jednocześnie wcale nie miałby tego nieporządku zastępować. Odrzucony przez Stalina, a wychwalany przez A. Gide’a, rosyjski mit rewolucji permanentnej jest godną kontynuacją francuskiego mitu „nieśmiertelnych zasad”. Jeden i drugi wynika z pomylenia gorączki i zdrowia; w jednym i drugim oczekuje się od choroby, której istotę się ukrywa, wskazania niezmiennych norm mających się stać naturalnym fundamentem życia społeczności politycznej.

Normalna rola rewolucji (powinienem napisać: ich rola idealna, gdyż w naszym świecie to, co realne, prawie nigdy nie jest normalne!) polega zatem na oczyszczaniu i przywracaniu do zdrowia porządku politycznego, który jest bardziej lub mniej schyłkowy i zepsuty. Ale konkretne i praktyczne rezultaty tych przewrotów stoją w całkowitej sprzeczności z tą wyższą celowością. Historia dowodzi, że kryzysy rewolucyjne (które teoretycznie powinny wywołać w społeczności politycznej reakcję ozdrowieńczą, stać się początkiem nowej harmonii) zazwyczaj kończą się bardzo źle,

a gdy umierają, ustępują miejsca reżimowi jeszcze gorszemu niż ten, który zabiły. Charles Péguy mówił o „rewolucjach bardziej martwych niż trony”.

Gorączka rewolucyjna może prowadzić do doskonalszego zdrowia. Ale pod warunkiem, że organizm z niej wyzdrowieje, całkowicie wyzdrowieje! A dzisiejsze społeczeństwa źle przechodzą rewolucje: po ostrym kryzysie anarchii i pozornym powrocie do zdrowia wciąż pozostają zakażone wirusem rewolucyjnym; infekcja przechodzi w fazę chroniczną i ich stan po chorobie jest jeszcze gorszy niż przed nią. Tak było z rewolucją francuską. Joseph de Maistre słusznie widział w niej oczyszczającą karę zesłaną przez Boga na władzę prawowitą, ale zdegenerowaną i przewrotną. Po przejściu kryzysu stary porządek powinien być odrodzić się odmłodzony i wzmocniony. Niestety, ozdrowieńcza reakcja na zło nigdy nie nadeszła. Rewolucyjne wyziewy, mimo upływu tylu lat, nadal zatrują świat: kryzys, który miał przynieść zmartwychwstanie, nie zrodził niczego prócz jeszcze większego marazmu...

W gruncie rzeczy ta klęska jest całkowicie zrozumiała. Prawdziwe owoce zrodzone przez rewolucje nie dziwią nikogo, kto rozumiał źródła tych wstrząsów. Wyobraźmy sobie porządek polityczny zdrowy w swych zasadach, ale zepsuty przez osoby sprawujące władzę. Samo rozdzielenie klas społecznych i rygorystyczny ustanowiony porządek skutkują tym, że to zepsucie w przeważającej części pozostaje w klasach rządzących. Jest ono dla ludu bardziej źródłem ucisku niż zakażenia. Rewolucja wydaje się być konieczna, aby uzdrowić ten porządek. Porzućmy jednak abstrakcyjne rozważania i zstąpmy na ziemię: jaki ukryty nerw muszą podrażnić i wykorzystać rewolucyjni podżegacze, aby w świadomości ludów wzbudzić niszczycielski bunt – tę przeobfitą nienawiść do zgnilizny rządzących, to pragnienie świętej sprawiedliwości społecznej? Idźmy dalej. Ludzie zdolni do czystego, bezinteresownego niszczenia zdarzają się rzadko, jak diament. Odwiecznym zaczynem rewolucji jest pragnienie uciskanego, aby dzielić zepsucie ciemieży, aby skosztować tego robaczywego owocu, który jego zazdrość i niewiedza otaczają nimbem rozkoszy. Zresztą, jakoś pobudek rewolucyjnych poznaje się po skutkach rewolucji („Po ich owocach poznacie ich” [Mt 7, 16]); przewro-

tom rewolucyjnym udaje się jedynie rozpowszechnić w całym organizmie społecznym zepsucie ogarniające wcześniej – dzięki solidnym zaporom hierarchii i dyscypliny – tylko jego najwyższe warstwy. Miłość, sprawiedliwość, cnota – te wielkie kwestie tracą w czasie rewolucji właściwy sobie ciężar, głębię i realizm; służą przede wszystkim za zasłonę i maskę. To nie cnota się mści, lecz rozlewa się występki. Najbardziej rzucającym się w oczy skutkiem „świętego gniewu ludów” jest pomnożenie liczby biesiadników na ucztach zepsucia.

Historia jasno ukazuje, że rewolucje zawsze są poprzedzane i warunkowane zaniedbaniami, wyraźnym „zaniechaniem działania” ze strony elit kierujących. Zło przychodzi z góry i zaraża lud. Mówiono o tym wielokrotnie. Moim zdaniem takie postawienie kwestii jest słuszne, ale niewystarczające.

Nie jest prawdą, że pierwotna odpowiedzialność za rewolucję spoczywa na pogrążonej w grzechach elicie. Nawet pod najzdrowszymi rządami w „duszy” mas istnieje pewien rodzaj ukrytej mentalności rewolucyjnej. Jest to po prostu szczegółowy przypadek działania ogólnego prawa, zgodnie z którym materia stawia opór formie, a to, co niższe – wyższemu. Podobnie jak w przypadku zmysłów, które – nawet u najzdrowszego człowieka – zachowują zawsze jakiś margines nieposłuszeństwa i odśrodkowości wobec władzy ducha, wewnątrz organizmu społecznego istnieje pewna naturalna opozycja mas wobec władzy. To napięcie, należące w pewnym sensie do porządku metafizycznego, zwiększa się i prowadzi do konfliktów z powodu ludzkiej przewrotności. Zepsucie kierujących wzmacnia nienawiść i zazdrość ludu oraz doprowadza do ich wybuchu, nie wywołuje ich jednak w całości! Utrzymywanie – zgodnie z nowożytnym kultem ludu – że katastrofy społeczne są wywoływane wyłącznie przez wady i błędy władzy, że całe zło pochodzi z góry, to głoszenie w sposób domniemany, że wszystko znajdujące się na dole jest z istoty swej czyste, że wystarczy być na dole, aby być czystym. Jakby masy nie były nosicielem żadnego nieuporządkowania, a zło mogły przejąć tylko z góry! Jakby najzdrowsza władza nie musiała się liczyć z buntem i zazdrością! Bez wątplenia faryzeizm zwierzchnika napędza bunt podwładnego.

Gdy jednak przyjrzymy się tej sprawie z bliska, dostrzeżemy, że w gruncie rzeczy rewolucjonista straszliwie potrzebuje faryzeusza. Jest bardzo szczęśliwy ze znalezienia w faryzejskim zepsuciu pretekstu do zawładnięcia i śmiertelnego zranienia piękna i wielkości, których zazdrości, nie rozumiejąc ich wcale.

W rzeczywistości zło pochodzi jednocześnie i z góry, i z dołu, i od rządzących, i od ludu. Wszyscy synowie Adama mają ten smutny przywilej bycia przyczyną sprawczą zła. Uważam jednak, że większa odpowiedzialność spoczywa na elitach. Kilka słów wyjaśnienia: jeśli w każdym scaleniu, w każdej syntezie (biologicznej lub społecznej) to, co niższe, w pewnej mierze stawia opór temu, co wyższe, jest zarazem dogłębnie przez to, co wyższe, przyciągane. Ta sama zasada dotyczy też ludu: jaka by nie była jego sytuacja w relacjach z elitą, zawsze podlega jej sile przyciągania. Jeśli elita jest zdrowa, magnetyzm, którym oddziałuje na lud, w całokształcie relacji koryguje i przewyższa ludowe tendencje anarchiczne, a społeczna równowaga pozostaje zachowana. Jeśli jednak władza jest zepsuta, jej uwodzicielski czar psuje lud, a tym samym wzmacnia w nim odruch anarchiczny, gdyż każde zepsucie jest z natury buntem przeciwko harmonii i jedności. I wtedy stajemy się świadkami tego potwornego paradoksu, który jest jakby psychologicznym splotem rewolucji: widzimy wpływ wywierany przez to, co wyższe, na to, co niższe, obracający całość w ruinę; stajemy twarzą w twarz z ludami zbuntowanymi przeciwko władzy swoich mistrzów, ale zazdroszczącymi im ich zepsucia. Te ludy gotowe są przejąć wszystkie choroby władzy, choć jednocześnie samą naturę władzy odrzucają.

Być może zostanie mi zarzucone, że szukam rewolucyjnych pobudek zbyt nisko we wnętrzu człowieka i że lekceważę rewolucyjny idealizm. Niezależnie od tego, jaka jest moc, zdolność do metamorfozy i sublimacji uczucia takiego jak zazdrość (istnieje idealizm i heroizm zazdrośnika), nie upieram się, że tylko ono odgrywa rolę w psychologicznej genezie rewolucji. Duch rewolucyjny jest złożony. To, co wcześniej napisałem o mentalności rewolucjonisty i „człowieka lewicy”, w zasadzie zwalnia mnie z obowiązku zagłębiania się w szczegóły w tym miejscu.

Jak by nie było, trudno zaprzeczyć, że każdy prawdziwy rewolucjonista to człowiek, którym powoduje niecierpliwość niszczenia. Imperatyw: „Trzeba zmienić wszystko!” nie przez przypadek stał się powszechnie używanym hasłem rewolucyjno-demokratycznym.

Rewolucjonista wierzy w możliwość gruntownego przekształcenia całej rzeczywistości. „Zburzmy cały ten nieczysty gmach społeczny – głosi jego wiara – aby zaś odbudować, wyprowadźmy coś z niebytu!” Niestety! Tylko sam Bóg może wyprowadzić coś z niebytu. Ale nie robi tego; każdego dnia woli wyprowadzać coś z ludzkiej mierności, a nawet z ludzkiego zła. Nikt nie jest bardziej niż Bóg opieszale w niszczeniu; Bóg pochyla się nad najmniejszymi resztkami bytu i prawdy, które trwają ukryte pod gorszącymi zachowaniami i złymi nawykami, aby je uratować. Jego dłonie skąpią karzącego ognia z nieba. Jest pewna kwestia, której chrześcijanie być może nigdy nie zgłębią do końca: Bóg wszechmogący, stwórca tak nieczystego świata, nigdy tego świata nie zniszczył i nie stworzył go od nowa!

Ale ludzie, którym brak stwórczej mocy, nie boją się niszczyć. Przypowieść o chwaście i dobrym nasieniu nigdy nie dotarła do rewolucyjnych uszu. Najmniejsze defekty władzy i porządku są dla niektórych miłośników ludzkości pretekstem, aby pożądać powszechnego przewrotu. Obserwacja ich poczynąń daje gorzką lekcję: w imię usunięcia zgorszenia, w imię zadośćuczynienia niesprawiedliwości nie wahają się przeciąć tysiącletnich korzeni życia społecznego; wywołują nowotwór, aby wyleczyć zadrapanie! Widząc takie ich zaangażowanie w agitację przeciw naturze, można zadać sobie pytanie, czy ich pozorne pragnienie przebudowy wszystkiego nie jest po prostu zasłoną dymną i paszportem do jakiejś niewiarygodnej żądzy unicestwienia, do jakiejś pełnej pychy i podłej nienawiści do wszystkich uwarunkowań ludzkiego bytowania. Gdy śmierć potrzebuje pseudonimu, wybiera słowo „sprawiedliwość”. Specyficznie rewolucyjnym sposobem wymierzania sprawiedliwości jest opróżnienie obu szal jej wagi.

Po hiszpańskiej katastrofie² G. Bernanos pociesza się myślą, że natura w miarę wzrostu nowego pokolenia niszczy pokolenie poprzednie, zamiast je reformować. Jednak to upodobnienie zniszczenia dokonanego w ludzkim świecie do zniszczeń dokonujących się w przyrodzie budzi w nas pewien niepokój. W czło-

² Po hiszpańskiej wojnie domowej 1936–1939 (przyp. tłum.).

wieku mieszkają takie demony, jakich nie znajdzie się w naturze. Trzeba by nigdy nie doświadczyć tego zła i przewrotności, jakie ma w sobie człowiek, aby porównywać przewroty społeczne do cyklów biologicznych. To, co natura zabija, warte jest śmierci; śmierć jest w naturze wpisana w porządek koniecznych wymogów życia. Ale w wielkich kryzysach ludzkich pragnienie destrukcji osiąga poziom swoistej piekielnej niezależności i uwalnia się z jakiegokolwiek innej celowości; jednocześnie niszczy to, co schyłkowe, i to, co zdrowe: śmierć żąda ofiary, ale śmierć nie służy już życiu, żąda ofiary jako pani i królowa świata! Ponadto jeśli nawet „rewolucje” naturalne unicestwiają jednostki, szanują jednak gatunki i pozostawiają nienaruszone odwieczne prawa życia. Natomiast rewolucje ludzkie w ostatecznym rozrachunku, poprzez działania poszczególnych osób i jednostkowe wydarzenia, kierują swój atak na najważniejsze fundamenty istnienia i porządku, z wściekłością rzucają się bardziej na samo życie niż na konkretne istoty żyjące, zabijając ludzi, chciałyby zagryźć samą naturę ludzką. Zniszczenie dokonujące się w przyrodzie jest jak fala w rzece, która popycha następną; zniszczenie ludzkie to zatrucie samego źródła. Natura przekreśla przeszłość, aby zapewnić przyszłość; rozsiewa ruiny jak nawóz. Natomiast destrukcja rewolucyjna, wierząc, że przekreśla przeszłość, w rzeczywistości odrzuca całą kruchość ludzkiego losu, neguje odwieczne potrzeby człowieka. I dlatego wojna rewolucji z przeszłością zatrzuwa przyszłość, zamiast ją karmić. To, co atakuje istotę człowieka, nie może służyć ludzkiemu postępowi.

Spektakl tych ślepych i bezpłodnych destrukcji, tego chełpienia się złem, zdolny jest w każdym zdrowym umyśle wywołać odruchy głęboko konserwatywne. W rzeczywistości istnieją – nigdy dość podkreślania tej kwestii – dwie bardzo różne mentalności konserwatywne. Pierwsza charakteryzuje bezsilnych i zadowolonych – ten konserwatyzm inercji jest znacznie bardziej rozpowszechniony: ludzie chcą zachować to, co jest, ponieważ zatracili wszelką zdolność odnawiania i budowania; nie mając żadnej mocy poruszającej, gloryfikuje się osiągniętą już prędkość. Druga natomiast jest zachowawczą mądrością – widać ją na przykład u Pascala. Nie pomija błędów tradycji i ustalonego porządku, wie, że mnóstwo rzeczy powinno być zmienionych, jest

po prostu sceptyczna względem zdolności twórczych człowieka w ogóle, a w szczególności względem skutków kryzysów pochodzących z dołu. Bunt tego, co niższe – bytu stworzonego po to, aby być kształtowanym i kierowanym z wyżyn – jest doskonale zdolny do zniszczenia tego, co wyższe, ale nie do zreformowania go. Najbardziej trującym złudzeniem jest nadzieja, że świat będzie lepszy, gdy zostanie ożywiony i uporządkowany przez zwycięstwo nieuporządkowanego, nieufornowanego ludu, zbawiony przez to, co niskie. Tylko jedna oddolna rewolucja prawdziwie przemieniła ludzkość, a było to chrześcijaństwo. Tylko że w tym przypadku pod zasłoną bytu najniższego ukrywał się właśnie byt najwyższy i najdoskonalszy! Bóg nie tylko zstąpił na ziemię, On niejako wszedł we wnętrze świata, na tym właśnie zanurzeniu i oddolnym promieniowaniu miłości polega „niskość” chrześcijaństwa. Ale w rzeczywistości nie ma niczego wyższego od tej niskości, nie ma też niczego, co byłoby większym przeciwieństwem rewolucyjnego kłamstwa. Z tego, że Bóg zechciał posługiwać się najbardziej ubogimi środkami, aby zmieniać nasze losy, że „wybrał właśnie to, co nie jest, aby unicestwić to, co jest” (1 Kor 1, 28), nie wynika, iż to, co niskie, wydane na pastwę swojego buntu i pychy, stanie się samo z siebie źródłem cudu. Doskonały rewolucjonista uważa, że bez Bożej pomocy sam jest w stanie określić na nowo wyzwania, jakie Bóg postawił przed naturą.

Gdyby nie istniał inny dowód na Boskie pochodzenie chrześcijaństwa niż fakt, że ten ruch „ludowy” dał światu formę, zarazem nową i najdoskonalszą – ten by mi wystarczył.

Tym, co niepokoi mnie w idei rewolucyjno-demokratycznej, nie jest zamiłowanie do zmiany i postępu (życie to nic innego niż ruch), lecz wiara w postęp pochodzący z dołu i przez „doły” kierowany, a także związany z tym bunt przeciwko samym zasadom społecznego życia i harmonii. Przecież zgodnie z tą ideą masy nie pragną zmiany przewodników, one chcą same sobie przewodzić.

Któż ośmieliłby się zanegować okrutne wykorzystywanie człowieka przez człowieka, do którego tak długo dochodziło w imię konserwatyizmu i „słuszności”? Roszczenia społeczne ludzi lewicy nazbyt często były usprawiedliwione. Jest wprost obowiązkiem

pragnąć, aby na uczcie społecznej lud był lepiej obsługiwany (pod warunkiem że ta sprawiedliwość będzie dopasowana do konkretnych potrzeb tego, komu jest oddawana). Ale czymś potwornym jest przekonywać lud, że sam ma się obsłużyć, jak czyni to rewolucyjna agitacja na wszelkie możliwe sposoby. Wszak aby to osiągnąć, trzeba odwołać się do nienawiści, do zazdrości mas, do całej mocy rozwiążności moralnej. Jeśli lud osiągnie w ten sposób jakieś korzyści materialne, nabędzie je za cenę zniszczenia swoich najbardziej ugruntowanych wartości społecznych: zmysłu dyscypliny i organicznej współpracy między klasami, umiłowania swojego losu lub przynajmniej jego akceptacji itd. Każdej zewnętrznej zdobyczy towarzyszy nieusuwalna szkoda na duszy człowieka biorącego udział w walce. Ten proces prowadzi do powstania społeczeństwa, w którym panowałby rodzaj abstrakcyjnej równowagi, doskonałej „sprawiedliwości” zewnętrznej, a jednak w jego wnętrzu wszystkie cnoty społeczne byłyby martwe. Doskonała organizacja kolektywu, ale poszczególni ludzie pozbawieni duszy zdolnej do budowania wspólnoty. Jaką więc pustynią, jakim piekłem stałby się taki świat? Żeby zrzucić jarzmo, które ciąży na barkach mas ludowych, duch rewolucyjny wypełnia ich wnętrza trucizną...

Powtórzmy raz jeszcze: nie chodzi o to, aby zanegować odpowiedzialność elit za zrodzenie i rozwój rewolucji. Ograniczam się tylko do stwierdzenia, że rewolucje – przez samo to, że mogą rodzić się tylko z demoralizacji mas – zamiast oczyszczać elitę, przenoszą jej choroby na cały naród. Te gorączki nieubłagane zwiastują upowszechnienie zła; z początku przypominają zdrową reakcję na egoizm i przywileje jakiejś kasty lub klasy, w rzeczywistości są tylko walką odurzonych mas mającą na celu nasycenie ich chorego pragnienia tych samych przywilejów, tego samego egoistycznego wyrzeczenia się obowiązków społecznych.

Nie cierpię występków ciemnych. Ale jeszcze bardziej – odwetu ciemnych. Jednak widok tych dwóch otchłani nędzy, jak mówił J. de Maistre, nie powinien wywoływać w nas jakiejś politycznej rozpacz. Jest ścieżka, którą podążając, można przejść ponad tymi przeciwległymi przepaściami, a nawet zapanować nad nimi. Jest to droga reformy – rewolucji, jeśli ktoś woli – zapoczątkowanej i kierowanej z góry. Wszak rewolucja może

przyjść z góry. Nawrócenie jest dla człowieka rewolucją tak samo głęboką w swoim porządku jak pojawienie się nowotworu w porządku cielesnym. Gdy władza doczesna zawodzi w spełnianiu swej misji, powinna zostać ostrzeżona i skorygowana, nie przez anarchię ludów jednak, ale przez władzę różną od niej i wyższą – przez władzę duchową. Joseph de Maistre, w tak pożałowania godny sposób dziś lekceważony, znakomicie rozwijał tę kwestię.

Odwołajmy się do przykładu. Sądzymy, że porównania z porządku biologicznego zastosowane do życia społecznego, choć w znacznej mierze niewspółmierne, mimo wszystko pozostają najlepsze. Pewne jest też, że dziedzina ochrony zdrowia (jeśli ten, kto się nią zajmuje, czyni to z pełnym oddaniem i zaangażowaniem) wciąż stanowi najlepszą szkołę mądrości politycznej. Można zatem wyróżnić trojakić życie w człowieku: życie ducha, życie zmysłów i życie organiczne (wegetatywne). W życiu społecznym władza duchowa może być porównana do życia ducha w człowieku, władza doczesna – do zmysłowości, a masy ludowe – do życia organicznego (powtarzam, że jedynym celem tych porównań jest ilustracja pewnego stanu faktycznego). Wyobraźmy sobie teraz człowieka poddającego się swoim nadmiernie rozdmuchanym uczuciom, doświadczającego „nadużyć władzy” swojej zmysłowości, oddającego się, na przykład, nieumiarkowanym rozkoszom stołu. Człowiek ten może zostać „ostrzeżony” na dwa sposoby: albo przez swój rozum, który pokazuje mu jednocześnie popełniany błąd i grożące mu z tego powodu niebezpieczeństwa, albo – jeśli rozum milczy lub ten człowiek go nie słucha – przez dolegliwości gastryczne. Jeśli posłucha pierwszego ostrzeżenia, zachowa zdrowie za cenę bardzo niewielkich ofiar, ale jeśli będzie czekał na drugie – przez długi okres, a może i zawsze, jego życie będzie naprawdę godne pożałowania, nawet jeśli będzie maksymalnie uległy wobec swoich zbuntowanych wnętrzności.

Podobnie rzecz się ma w polityce. Gdy klasy kierujące, głuche na głos obowiązku, są ostrzegane dopiero buntem ludów, oznacza to, że zepsucie przeniknęło aż do samej głębi organizmu społecznego, ostrzeżenie wychodzi znad skraju nicości!

Tak jak chory na niestrawność każdego dnia składa swoim bolesnym dolegliwościom ofiarę ze swojego obżarstwa, tak stare

upadłe elity, trzymające się jeszcze władzy i fortun, próbują uspokoić i zwieść ustępstwami lud zarażony duchem rewolucyjnym. Ale każde ustępstwo może tylko jeszcze bardziej osłabić tego, kto je czyni, i jeszcze bardziej podrażnić głód tego, kto je osiąga. W zdrowo zhierarchizowanym społeczeństwie najmniejsze dary dawane przez elitę ludowi są płodne i wzmacniają jedność wspólnoty; w klimacie rewolucyjnym najbardziej niszczące ustępstwa, najbardziej demagogiczne reformy prowadzą wyłącznie do poszerzenia przepaści między elitą a ludem. A zatem im bardziej jakaś reforma daje moralne lub materialne ulgi dla klas niższych, tym silniejsza i bardziej szanowana powinna być władza, która ją wprowadza. W przeciwnym razie wszystkie „dobrodziejstwa” przyznane ludowi posłużą jedynie do podsycania jego roszczeniowej gorączki. Do rządzących w każdym porządku można słusznie skierować te słowa: „Jeśli twoja sprawiedliwość przyznaje jakieś prawo tym, którzy są niżej od ciebie i są tobie podporządkowani, pilnuj, aby twoja siła mogła się przeciwstawić ich roszczeniom. Nigdy nie trać z oczu tego podwójnego obowiązku: ilekroć zgodzisz się na coś, co jest sprawiedliwe, pomyśl, że być może następnego dnia będziesz musiał odmówić tego, co jest niesprawiedliwe. Niech twoja siła będzie tak spokojna i łagodna, aby można było ją kochać, a twoja słabość niech nigdy nie będzie tak gnuśna, aby dało się ją wykorzystać...”.

Rolą władzy duchowej jest wołanie do władców doczesnych: Dajcie dziś coś, żebyście nie musieli jutro oddać wszystkiego, i to na próżno! Określenia „władza duchowa” używam tu w bardzo szerokim znaczeniu. Oznacza ono dla mnie nie tylko władzę kościelną w znaczeniu ścisłym, ale całą elitę intelektualną narodów. Kapłan i myśliciel zajmują miejsce między Bogiem a władcami doczesnymi: ich misja polega na oświecaniu i pouczeniu z wysoka królów i mistrzów – na znajdowaniu lekarstwa na pomyłki i błędy władzy, z uniknięciem budzącego lęk i zawsze groźnego ryzyka wywoływania w społeczeństwie rewolucji. Z melancholijnym smutkiem myśli się dziś o tym, jak wiele uczynili dla ludów i królów ludzie tacy jak Ojcowie Kościoła w starożytności, św. Tomasz More w Anglii, Bossuet we Francji i wszyscy wielcy myśliciele chrześcijaństwa z każdego kraju i czasu. Ludzie ci potrafili jednocześnie wzywać rządzących do posłuszeństwa

ich Bogu, a ludy – do posłuszeństwa swoim władcom. Potrafili z energią, a nawet z heroizmem, pouczać władzę doczesną, jednak tylko z wysoka, bez najmniejszego przykładania ręki do rewolucyjnego chaosu. Czuli by oni wstręt do jakiegokolwiek paktowania ze ślepą urazą mas, nawet gdyby miało to usunąć najgorsze nadużycia władzy. Tacy ludzie niosący światło zdarzają się rzadko (i jeszcze rzadziej są słuchani), tak że tym, co ostrzega elity przed ich pomyłkami i błędami, rzadziej jest dzwonek alarmowy ze strony władzy duchowej, a częściej – podzwonne ze strony zepsutego narodu...

To prowadzi nas do zatrzymania się przez chwilę nad często rozważaną kwestią „zdrady klerków”. Ci, którzy na ziemi reprezentują ducha, mogą w dwojaki sposób zdradzić swoją misję społeczną: po pierwsze, mogą rozbijać Boską jedność, podczas gdy ich zadaniem jest ogłaszanie jej ludziom; po drugie, mogą sytuować się między rządzącymi a masami nie jako żywe spoiwo, lecz jako rozdzielający klin. Zgodnie z pierwszym sposobem postępują ci, którzy czynią się niewolnikami klas panujących, zamykając oczy na ich nadużycia lub usprawiedliwiając je, uznając w ten sposób doczesnych władców za Boga. Drugi sposób jest jeszcze bardziej obłudny i zgubny. Polega on na rozbudzaniu i pielęgnowaniu, pod pretekstem miłości i sprawiedliwości, nieuporządkowanych ambicji tłumów, na uczynieniu sobie bożka z sił pochodzących z dołu, na usługnym dostarczaniu pozorów racjonalności szaleństwom Kalibana. Jeśli przeszłość ludzkości daje nam zbyt często przykłady symbiozy oligarchicznej tyranii i ludzkiej myśli, świat współczesny naznaczony jest zgubnym piętnem podporządkowania świata intelektualnego nowej tyranii pochodzącej z nizin, sprzedajności ducha wobec buntu mas (pomyślmy o wierze tylu inteligentów we wszechmoc i wszechwiedzę tłumów, o tej pełnej adoracji służalczości, która każe im chwalić się tym, że są nie ich przewodnikami, lecz pokornym głosem). Obowiązkiem sił duchowych jest niesienie Boga tak możliwym, jak i masom; ich grzechem jest szukanie Boga czy to w możnych, czy w masach. W obu przypadkach (choć w drugim – nieporównywalnie szybciej i skuteczniej) duch – który jest zarazem najskuteczniejszym spoiwem i najlepszym rozpuszczalnikiem – pracuje nad rozłączeniem tego, co Bóg nakazał mu jednoczyć.

Podsumujmy. Przedstawiona wyżej krytyka ideału rewolucyjnego nie zmierza do zanegowania pojęcia postępu społecznego. Nie odnosimy się z religijną czcią do starych reżimów autorytarnych. Brakuje nam ich głębokiego zdrowia, a nie ich niedoskonałości i nadużyć. Gdy myślimy o jakiejś epoce, na przykład o średnio-wieczu, od razu rzuca nam się w oczy wielorakość zła, często krzyczącego i gorszącego (wojny, głody, krwawe represje itd.). Nie dostrzegamy jednak, jak głęboki i fundamentalny porządek krył się za tą zasłoną chaosu. Można mieć zdrowe ciało, przeszedłszy liczne i gwałtowne infekcje. Można także dogorywać w swoistej kłamliwej euforii...

Trzeba było mądrze leczyć zło starych społeczeństw. To, co zarzucamy każdemu sztucznie wymyślonemu lub rewolucyjnemu „postępowi” (co w gruncie rzeczy jest tym samym), to dogłębne zarażanie organizmu społecznego pod pozorem leczenia drobnego skaleczenia. Taki postęp zмага się ze złem na powierzchni, a w rzeczywistości wprowadza je w głąb; czyni je niewidocznym (przynajmniej na jakiś czas), ale o ile bardziej substancjalnym! Promotorzy takiego postępu – skupieni na tym, co natychmiastowe i częściowe, pozbawieni tej wzniosłej mądrości pozwalającej znaleźć najgłębsze przyczyny zła i przewidzieć odległe konsekwencje planowanych reform, skazani przez to na stosowanie wyłącznie środków uśmierzających ból albo terapii o bardzo wątpliwej skuteczności – wywołują jedynie pogarszające stan zdrowia przerzuty choroby, którą zwalczają.

Jesteśmy spragnieni postępu, który nie kosztuje zbyt drogo, czyli takiego, który pochodzi z wysoka – od zdrowej elity, przyjmującej na siebie ciężar posługiwania się rozumem i sprawowania władzy, a nie pochodzącego z dołu – mającego swe źródło w masach i w ich odrzucającym ład buncie. Myślimy, jakie mogłoby być społeczeństwo, w którym władza duchowa, udzielając światła i służąc za przewodnika trwałemu i wolnemu rządowi, wyznaczałaby drogę reform, tak aby masy nie miały potrzeby zbaczać ze swoich naturalnych orbit, buntować się i degenerować, aby stopy organizmu społecznego nie stawały się głową ruchu rewolucyjnego. Pragniemy postępu, który nie spada z nienacka na człowieka jak łapa niedźwiedzia. Niestety, z bólem stwierdzamy, że od jakichś

stu lat to właśnie niedźwiedź wydaje się być sprawcą postępu! Masy wymachują maczugą postępu, wygrażając nadużyciom charakterystycznym dla skostniałego porządku społecznego, ale ta maczuga zdolna jest zmiażdżyć człowieka tak, że nic całego już w nim nie zostanie.

Wyłożyliśmy już wcześniej, co sądzimy o naturze i ograniczeniach władzy oraz o autonomii, która powinna być przyznana ludowi. Nie zamierzamy wykluczać mas z aktywnego poszukiwania postępu i czynić z nich całkowicie ślepych narzędzi w rękach władzy. Uważamy jedynie, że postęp powinien dokonać się nie za sprawą ich buntu, lecz we współpracy z nimi, i że ich rola, choć aktywna, powinna pozostać podporządkowana. Nie jest tym samym: nie być niczym i nie być wszystkim. Nie można lekceważyć udziału pług w pracy na roli. Ale jeśli położy się pług przed wołami, nie spełnia on już swojej funkcji, przeszkadza tylko wołom wypełniać to, co do nich należy. A cały duch rewolucyjny żywi się tym szaleństwem. Zgodnie z socjalistycznym dogmatem klasy niższe mogą liczyć tylko na siebie, inaczej mówiąc, postęp może być wyłącznie oddolny: „równouprawnienie robotników będzie dziełem samych robotników”. Jednak część, oddzielona od całości i szukająca zbawienia w swoim buncie, tylko rozbija całość i zabija samą siebie.

Gwiazda nie znała pychy, a robak zazdrości, pisał Wiktor Hugo, opowiadając o rajskej harmonii. Ten wers pięknie wyraża to, czym powinny być wymiany między różnymi organizmami społecznymi: to, co niższe, podnoszące się do wyższego nie po to, aby niszczyć, ale aby otrzymywać; to, co wyższe, pochylające się nad niższym, aby dawać, a nie aby uciskać. Tożsamość tej całości opiera się nie na samej relacji wyższe–niższe, ale na wspólnych aspiracjach i dążeniach. Jest to tożsamość współgrania zbudowana na miłości tego samego Boga, a nie sztucznie spreparowana tożsamość natury, do której z konieczności dąży socjalistyczny egalitaryzm i która możliwa jest do osiągnięcia tylko za cenę zrujnowania natury prawdziwej. Ostatecznie podstawowa zasada jedności społeczności ludzkiej jest ponad tą społecznością, tak że dążenie do jedności w klimacie ateistycznym zawsze oznacza podążanie do zamętu i śmierci. ■